

ISSN 1505-8476

informer

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI



nr 220
lipiec 2007



JAK ODNALAZŁEM KRAKÓW – ALE NIE ZNALAZŁEM LEMA

Jakoś daleki jestem od wszelkich wakacyjnych ekstremów. Nie odpowiadałoby mi ani leżenie na gorącej plaży, ani szlusowanie z ośnieżonego stoku. Organicznie nie nadają się ani do tego, ani do tego. W młodości urlopy najbardziej lubiłem spędzać w Tatrach (jesiennych) oraz w Krakowie (o dowolnej porze roku). Jednak nawet rozmaitych późniejszych obowiązków skutecznie wyautowałem mnie z obu tych zakątków naszego pięknego kraju. O Tatry (i inne polskie góry) udawało mi się jeszcze od czasu do czasu zahaczyć; do Krakowa miałem pecha totalnego (a sporadyczne i krótkie przesiadki w tym mieście jedynie zaostrzały mój apetyt). Niedawno jednak dane mi było pojechać na dłuższą delegację do Zakopanego (ale na położenie po górskich szlakach czasu nie stało) i Krakowa (tu – nałaziłem się do woli).

Zakopane zmieniło się niewiele. Ot, więcej ludzi i knajpek plus zauważalne modernizacje. Tłumy jak zawsze. To swoisty paradoks, że góry typu alpejskiego zajmują u nas raptem powierzchnię równą sporej gminie – i tłok ów jest właściwie nieunikniony (gdy wspomnę nieogarnione szwajcarskie Alpy widziane z okien słynnego Ekspresu Lodowcowego – rozumiem, iż tam bezkarnie można było pobudować tak liczne kolejki linowe i wyciągi krzeselkowe). Krakowa natomiast prawie nie poznałem. „Mój” Kraków – to Kraków całej dekady lat osiemdziesiątych. Liczne wycieczki studenckie i wypadki prywatne. Spektakle w Teatrze Starym, łożnikowanie po baśniowych zaułkach, przesiadywanie w Jamie Michalika, rozpaczliwe poszukiwanie sklepów lub knajp jakimkolwiek piwem... Przy całej swej wyjątkowości i baśniowości – było to jednak miasto PRL-u. Szare, zaniedbane – nie ponure tylko dlatego, że tak niezwykłego miejsca nie da się przytłoczyć!

pozytywne zmiany systemowe chyba jednak właśnie w Krakowie stały się zauważalne najszybciej. Już na początku lat dziewięćdziesiątych dawna stolica Polski objawiła się jako barwniejsza i ludniejsza. Ja jednak obserwowałem to wszystko już jakby zza szyby, gdyż nagle Gród Kraka stał się dla mnie li tylko stacją przesiadkową. Owszem, zakonotowałem rozbudowę dworca głównego PKP (który wcześniej urągał standardom tak licznie odwiedzanego przez turystów miasta), modernizację Wawelu i okolic Plant (widzianych głównie z okien samochodu lub autobusu), metamorfozę krakowskiego Kazimierza (będącego przed oscarowym sukcesem „Listy Schindlera” dzielnicą o klimatach nie żydowskich, ale żułowskich) – jednak to wszystko było w biegu, nie był to już „mój” Kraków, ale jakieś jego nowe i nieznane mi oblicze.

Teraz, że sięgnę po sformułowanie miłościwie nam panujących, „odzyskałem” Kraków. Chodząc popołudniami i wieczorami po jego zaułkach – poznawałem, chłonałem i konotowałem jego obraz dzisiejszy. To znowu jest również „moje” miasto, bo znam i oswoiłem jego aktualne oblicze. Zmieniło się zaś naprawdę bardzo dużo!

Pierwszy szok przeżyłem już wychodząc z dworca. Znikła przelotowa ulica, zniknął – nieśmiertelny zdawałoby się – bar „Smok”. Stoją tam hotel i galeria handlowa (nb. nic pięknego, ale porządkują teren), zaś powstały w ten sposób plac zyskał godnego patrona (otrzymał imię Jana Nowaka-Jeziorańskiego). Drugim szokiem była liczba odnowionych zabytków (Brama Floriańska, kościół Mariacki, Teatr Stary, całe rzędy kamienic) oraz nieprzebrany tłum zagranicznych turystów (ostatnio spotkałem coś podobnego w Pradze – widać naprawdę porzucili ją teraz dla Krakowa!). Trzecim szokiem było bolesne (dla nóg) przypomnienie sobie, że obejście Rynku, Wawelu, uliczek, Plant, Skałki, brzegu Wisły, Kazimierza, cmentarza Rakowickiego, okolic Błoni – to naprawdę równie atrakcyjna, co mordercza dawka turystyki pieszej (nawet przy rozłożeniu tego na kilka dni). Czwarty szok to nocne życie tego miasta (tłum niewiele mniejszy!); o tej porze nasz piękny Gdańsk staje się niestety śpiącą spokojnie prowincją. Piątym szokiem, już bardzo indywidualnym, było poszukiwanie grobu Stanisława Lema po całym cmentarzu Rakowickim (nazajutrz dopiero dowiedziałem się, iż Mistrz spoczął na Salwatorze!).

URODZINY

Drodzy wrześniowi urodzeńcy!
 Z powodu toczącego się dochodzenia
 w głośnej sprawie korupcji
 przy próbie zarolnienia ziemi
 pod klubem „Maciuś”
 boimy się wychylić i składamy Wam
 w tym miesiącu jedynie
ŻYCZENIA ZASTĘPCZE

- 1 Mariusz Rostankowski
- 4 Marek Falkowski
- 9 Radosław Krantz
- 12 Grzegorz Szczepaniak
- 13 Rafał Ziemkiewicz
- 16 Anna Martuszevska
- 21 Maciej Bulanda
- 27 Robert Jaliński
- 28 Magdalena Wilczyńska
- Mariusz Kanabrodzki
- Janusz Piszczek



LIPCOWE POSIEDZENIA ZARZĄDU GKF (robocze)

W dniu 17 lipca 2007 r.

Z przyczyn formalnych Zarząd postanowił powołać następujące Kluby Lokalne w charakterze samorządnych jednostek terenowych Gdańskiego Klubu Fantastyki:

- Klub Fantastyki „Angmar”;
- Klub Fantastyki „Brethren”;
- Elitarny Klub Fantastyki Totalnej „First Generation”;
- Klub Form Postteatralnych „Mirror”.

W dniu 20 lipca 2007 r.

1. Zarząd wyraził zgodę na opłacenie reklamy GKF w czasopiśmie studenckim „Pod Prąd”.
2. Zarząd cofnął skreślenie Ryszardowi Żalowi (KCzK)



Polcon

Warszawa 2007

Sponsor generalny



Ogólnopolski Konwent Miłośników Fantastyki



Film
Nauka
Komiks
Literatura
Planszówki
Star Wars
Karcianki
Strategie
Manga
LARP
RPG

30 sierpnia – 2 września, hotel Gromada

Centrum Konferencyjne, ul. 17 Stycznia 32

polcon.pl/2007

Fantasy à la belge

Gdy wychodzi się przed dworzec kolejowy w Mons w południowo-centralnej części Belgii, a zwłaszcza gdy spojrzy się na straszące tuż obok ruiny budynku czekającego na rozbiórkę - trudno domyślić się, że to właśnie tutaj mieści się kwatera główna wojsk NATO, i że to tutaj, a nie w ponad dwukrotnie większym Charleroi znajduje się stolica regionu Hainaut. To 90-tysięczne miasteczko liczy sobie mniej więcej trzy poważniejsze atrakcje turystyczne: rynek wraz z ukrytym na tyłach ratusza (*Hôtel de Ville*) urokliwym ogrodem; przysadzistą, pozbawioną wieży katedrę świętej Waudru; oraz 87-metrową dzwonnice (*beffroi*). Oprócz tego znaleźć tu można sporo wąskich, ładnych uliczek, które warte są godzinnego spaceru. Głodny atrakcji turysta, zblazowany po przepychu Brukseli, Brugii czy Gandawy, spędziłby tu najwyżej pół dnia, by popędzić chociażby do wspomnianego już, pobliskiego Charleroi (mimo że pod względem zabytków i atrakcji małe Mons bije to ostatnie na głowę). Tak i mnie szkoda byłoby czasu i pieniędzy, by przyjeżdżać tu jedynie na dwu-trzygodzinną wizytę, gdyby nie to, że owego dnia rozpoczynała się tam impreza fantastyczna: „Trole i legendy 2 - festiwal wszystkich form fantasy” (*Trolls et légendes II. Le festival de toutes les fantasy*).

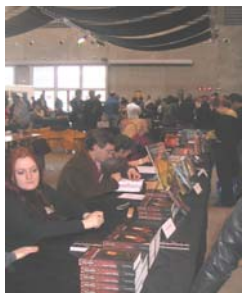
Termin owego festiwalu był dość szczególny, przynajmniej z polskiej perspektywy: odbywał się on bowiem w sobotę i niedzielę wielkanocną. U nas wszyscy popukaliby się na to w głowę, jeśli nie ze względu na oburzenie religijne, to przynajmniej z uwagi na to, że organizacja konwentu w trakcie świąt oznaczałaby ryzyko garstki uczestników i bankructwa organizatora. Tymczasem w Belgii nie zrobiło to żadnego wrażenia na kilku tysiącach ludzi, którzy zawitali do centrum wystawowego Mons Expo: sprzedano dwanaście tysięcy wejściówek (nie liczono, ile osób wykupiło zarówno sobotnią, jak i niedzielną), w tym cztery i pół tysiąca na wieczorne koncerty (o których dalej). Chyba tylko w kraju (częściowo) frankofońskim, z tradycją wojującego laicyzmu wywodzącą się od rewolucji francuskiej, możliwe jest podobne lekceważenie świątecznej tradycji, które w Polsce spotkałoby się natychmiast z moralizatorską reakcją. Gdy powiedziałem później jednemu z belgijskich kolegów, że w Polsce nikt nie ośmieliłby się zrobić podobnej imprezy w takim dniu, ówże wyjaśnił mi, że Belgowie dawno już przywykli do podobnych fanaberii: na przykład rok temu ktoś właśnie w niedzielę wielkanocną zdekapitował na Grand Place w Brukseli figurę króla, a zresztą pierwszy monarcha Belgii był autentycznym masonem.

Ten przydługi wstęp był konieczny, aby doprowadzić nas w końcu do wypełnionej mnóstwem ludzi, gigantycznej (8000 m²) hali Mons Expo. Od razu rzucało się w oczy kilka różnic w porównaniu z typowymi polskimi konwentami. Po pierwsze, zaskakująco niska była wejściówka: zaledwie 3 euro za dzień bez koncertów (z koncertami 15 euro za jeden dzień albo 25 euro za dwa dni), przy czym dzieci poniżej 12 lat wchodziły za darmo pod warunkiem posiadania opieki. Po drugie - zapewne z uwagi na taką cenę - wśród nadzwyczaj licznych uczestników



widać było mnóstwo całych rodzin z dziećmi, które zdecydowały się najwyraźniej zobaczyć coś ciekawego zamiast siedzieć w świąteczny weekend przed telewizorem. Po trzecie, jeśli chodzi o tzw. punkty programu, bardzo niewiele się działo - o wiele mniej niż na typowym polskim konwencie większych rozmiarów.

Centralną część centralnej hali zajmował „baśniowy targ” (*Marché Féérique*), na którym można było zapłacić za wszystko, co tylko kojarzy się z fantastyką: figurki, rzeźby (niekiedy okazałych rozmiarów), gadzety, biżuterię, gotowe stroje à la późne średniowiecze, rogi myśliwskie, miecze, miody i wina, reprodukcje ilustracji, kompletne zbroje, maski, a nawet wędliny. Można było również odwiedzić wróżkę albo zaopatrzyć się w fantastyczny makijaż (*bodypaint*). Był tam także konwentowy butik z produktami z logiem sponsora (*Cuvée des Trolls*) - i to tam zdumiałem się najbardziej, zobaczywszy w ofercie nie tylko standardowe koszulki, ale także zegarki, grę karcianą, czapki, a nawet bokserki, stringi i prezerwatywy. Po tym wszystkim, co zobaczyłem na owym targu, pomysł sprzedawania konwentowych prezerwatyw tak mnie zaszokował, że aż zapytałem jednego z organizatorów, czy traktują swoją imprezę jako komercyjną. Otrzymałem odpowiedź przeczącą, ale i tak nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że komercja zajmuje centralne miejsce konwentu - *non-profit* czy nie.



Być może moje wrażenie byłoby inne, gdyby organizatorzy w jakikolwiek sposób wykorzystali prawdziwy tabun zaproszonych gości. Na ulotce, z której dowiedziałem się o imprezie, doliczyłem się dokładnie czterdziestu siedmiu nazwisk pisarzy, krytyków, komiksarzy, ilustratorów i aktorów; tymczasem w ciągu dwóch dni konwentu odbyły się z udziałem niektórych z nich dokładnie trzy panele i dwa spotkania autorskie. To ostatnie dotyczyło wyłącznie gości honorowych: Davida Sterna, aktora raczej teatralnego, który zagrał kilka drugoplanowych ról w filmach fantastycznych; oraz Alana Lee, którego od czasu pracy przy trylogii Petera Jacksona niemal nikomu już nie trzeba przedstawiać. Poza tym zadaniem gości było siedzieć przy swoich stoiskach albo stolikach w strefie zwanej „komiks, literatura, dedykacje”, sprzedawać swoje książki (albumy, reprodukcje etc.) i podpisywać je klientom. Jako że na co dzień zajmuję się (wraz z Marcinem) programem publicystycznym na konwentach, moje gospodarskie oko nie mogło nie zauważyć takiego marnotrawstwa: gdybym ja miał na konwencie czterdziestu siedmiu gości, to mógłbym z tego zrobić całkiem spory Polcon. A tamci siedzieli i się nudzili, zamiast zaciekawiać kilka tysięcy potencjalnych czytelników z Belgii, Francji, a nawet - w przynajmniej jednym przypadku - z innej zagranicy.





Trochę tylko usprawiedliwia organizatorów w tej kwestii to, że mimo olbrzymiej przestrzeni Mons Expo brakuje tam sal. Drugą gigantyczną część hali zajmowała „strefa gier”, która obejmowała bitewniaki, planszówki, karcianki oraz tradycyjne erpegi. Z kolei po przeciwnej stronie „targu” znajdowała się (równie duża) część przeznaczona na koncerty, którą otwierano dopiero wieczorem. Między targiem a salą koncertową zmieszczono jeszcze scenę, na której po południu popisywał się (przy dużym zainteresowaniu dzieci) magik z asystującą elfką, stołówkę z kuchnią polową oraz jedyne miejsce, do którego nie dotarłem mimo protestów, że czuję się młodo: odgradzony kotarami Hogwart (a właściwie, zgodnie z francuską manią tłumaczenia nazw własnych, Poudwavre), przeznaczony wyłącznie dla dzieci. Jedyna (!) wyodrębniona architektonicznie sala dzieliła funkcje projekcyjne z publicystycznymi i w efekcie jedno i drugie wypadło skromnie. Jeśli chodzi o to pierwsze, najciekawszym punktem była półtoragodzinna projekcja filmów krótkometrażowych nadesłanych na konkurs; w głosowaniu publiczności (innego nie było) wyróżniono znakomity „Pintame” o sfrustrowanym rysowniku komiksów (kategoria fabularna; <http://www.wat.tv/PINTAME> - można oglądać nie znając francuskiego) oraz głupawego „Supermnicha” (*Supermoine*; kategoria animowana). Ponadto można było obejrzeć pierwsze odcinki seriali anime oraz dwa pilotujące odcinki parodiującego RPG serialu „Donjon Naheulbeuk” (który to projekt rozpoczął się od sagi w formie mp3, a doprowadził nawet do powstania zespołu muzycznego, obecnego na imprezie; osoby znające francuski mogą ściągnąć kolejne odcinki za darmo ze strony www.penofchaos.com/donjon.htm).

Co do publicystyki natomiast, najwięcej widzów przyciągnęły spotkania z gośćmi honorowymi. W sobotę bardzo kiepsko przygotowany prowadzący zadawał Davidowi Sternowi pseudopytania w rodzaju „Grał pan w filmie X...” albo „Grał pan również w filmie Y...” i tylko takt gościa, który zamiast odpowiadać krótkim „tak” rozwijał własne monolog, uratował spotkanie przed katastrofą. Przy okazji pierwszy raz w życiu słyszałem Anglika mówiącego po francusku i było to niezapomniane, wymagające sporej koncentracji przeżycie. Znacznie okazalej wypadło niedzielne spotkanie z Alanem Lee, który - na szczęście po angielsku - opowiadał o kulisach swojego mariażu z książkami Tolkiena oraz filmowym „Władcą Pierścieni” (przy którym odpowiadał, jak przyznał, głównie za stronę wizualną „złej strony mocy”). Publiczność nagrodziła go brawami na stojąco; szkoda tylko, że nie dano mu szansy nieco dłuższych wypowiedzi i zakończono spotkanie już po czterdziestu pięciu minutach. A poza tym odbyły się trzy panele (*conférences débats*) na krzyż: jeden dotyczył „Harry'ego Pottera”, drugi mitycznych źródeł fantasy, a trzeci - „rewolucji Władcy Pierścieni w fantasy”. W efekcie drugiego dnia konwentu coraz bardziej się nudziłem, mimo rozmachu imprezy: poza oglądaniem wspomnianych pilotów seriali anime (z których część znałem) oraz konkursu filmów (który widziałem już poprzedniego dnia) niewiele było do roboty. Nawet spektakl maga z asystentką powtórzono w identycznej formie. Pozostało mi więc po raz trzydziesty przespacerować się wśród stoisk, które dawno już zdążyłem



dobrze obejrzeć – polując już tylko na ciekawe zdjęcia licznie i pomysłowo przebranych uczestników. Mogłem też po raz dwudziesty obejrzeć wystawione w korytarzu przed głównymi halami grafiki, wśród których najbardziej przypadły mi do gustu prace niejkiej Krystal Camprubi. Dopiero wieczorem, na dwóch spotkaniach, było czego posłuchać; a potem wręczano nagrody stowarzyszenia organizującego festiwal, honorując m.in. obecnych tego dnia Stana Nichollsa oraz Alana Lee. Zastanowiłem się przy tej okazji, kto tu kogo honoruje: organizatorzy gości, wręczając nagrody, czy może raczej goście organizatorów, przyjmując je. Może w GKF-ie też ufundujemy jakąś nagrodę i wręczymy ją, dajmy na to, Peterowi Jacksonowi? Jackson z pewnością bardzo by się ucieszył z takiego zaszczytu.

Do pełnego obrazu imprezy brakuje nam już tylko opisu jego części muzycznej – zdecydowanie najbardziej imponującej w całym programie. Na jej potrzeby ściągnięto siedem zespołów celtycko-folkowych z całej Europy oraz jeden z Kanady (niektóre klipy można obejrzeć na stronie <http://www.trolls-et-legendes.be/musique.htm>). Wśród nich największą gwiazdą była grupa Urban Trad, znana u nas głównie z piosenki „Sanomi”,



która w 2002 zaledwie jednym punktem przegrała konkurs Eurowizji z bardzo sztanpową piosenką turecką. Ponadto wystąpiły m.in. Corvus Coax oraz węgierska grupa The Moon and the Nightspirit (ta ostatnia otrzymała nagrodę organizatorów; kilku fantastycznych piosenek można posłuchać na stronie internetowej www.themoon.equilibriummusic.com).

Niestety, z wieczornych koncertów musiałem zrezygnować z uwagi na koszty: gdybym chciał ich posłuchać, musiałbym nie tylko wykupić droższy bilet, ale w dodatku zafundować sobie dwa noclegi w Mons, ponieważ po północy nie miałbym czym wrócić do Brukseli. Stąd pozostało mi tylko podsłuchiwanie zespołów rozpoczynających swoją grę przed godziną 20.00, o której zamykano pozostałą część konwentu, oraz podziwianie w ciągu dnia dwóch bardzo ciekawych pomysłów: jednym był zespół muzyki dawnej przygrywający gościom na terenie hal konwentowych, drugim natomiast – pokaz tańców zorganizowany przy akompaniamencie tegoż zespołu. Jedno i drugie bu-



dowało znakomitą atmosferę karnawału w miejscu, które w przeciwnym razie byłoby po prostu targowiskiem.

W sumie opuszczałem Mons zadowolony, choć z mieszanymi nieco uczuciami. Z jednej strony była to ogromna, ciekawa impreza, z plejadą gości, na której czuło się atmosferę święta fantastyki. Z drugiej strony jednak, był to konwent nie całkiem wykorzystanych szans: impreza rekreacyjna raczej niż kulturalna, o dość ubogim, jak na taki rozmach organizacyjny i tylu gości, programie. Było to idealne miejsce do wyrwania się na weekend i pospacerowania wśród przebierańców, ale niekoniecznie do posłuchania czegoś ciekawego – z wyjątkiem kilku spotkań. W związku z tym poziom festiwalu podnosił przede wszystkim fenomenalny program muzyczny, w którego cieniu pozostawało wszystko inne (poza spotkaniem z Alanem Lee). I z uwagi na to właśnie sądzę, że wrócę jeszcze do Mons – aby, nie narzekając już na dziury w studenckiej kieszeni, wziąć udział w całym programie imprezy. Wówczas z pewnością warto będzie się tam wybrać.

Michał Szklarski

FOTORELACJA Z TELEPORTU 2007



← cztery kontrolery, pięciu graczy i kupa zabawy

zajęcie dla "lepszego połowy" →



← pomieszanie stylów - cecha charakterystyczna Teleportu



żelazne nerwy i kamienna twarz
– to atuty prawdziwego dowódcy →



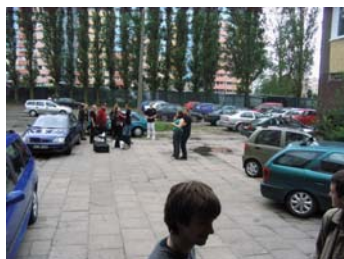
← biwak pod dachem? Czemu nie!



czy nie jesteś trochę niska jak na szturmowca? →



← brać konwentowa robi się majętna – "parking" był pełny



Solaris bezskutecznie przekonywało, że książki też są interesujące →



← nie wszystkie prelekcje spotkały się z uznaniem



← CD-Jack - jak zwykle ponętny

Magicowcy przy pracy fizycznej →



← "Tańcz, głupia, tańcz
– swoim życiem się baw"



pomysł nie spotkał się z uznaniem Cetiego



Proszę nie karmić battlewoców →

Mój pierwszy raz (w Nidzicy)

Przyjazd do Nidzicy planowałem już od kilku lat. Zawsze jednak coś stawało na przeszkodzie – a to termin w czasie sesji, a to brak pieniędzy. W końcu jednak się udało. Dodatkową mobilizacją była co prawda misja związana z Nordconem (zapraszanie gości), jak również dofinansowanie z klubu, ale i tak wybrałbym się na XIV Międzynarodowy Festiwal Fantastyki.

Na konwent udaliśmy się razem z Papierem i dwiema dziewczynami z GKF. Papier wpadł z nimi do Nidzicy na jeden dzień i zabrał nas samochodem. Trzeba trafu, że akurat poprzedniego dnia wieczorem czytałem wyjątkowo ciekawą książkę Tada Williama (recenzja w numerze) i tak się wciągnąłem, że skończyłem ją nad ranem; dlatego w podróż ruszyłem co nieco niewyspany, po jednej godzinie snu.

Jak po sznurku trafiliśmy na zamek, przywitaliśmy się z wielką gromadą znajomych i przyjaciół, załatwiliśmy formalności i poszliśmy na spotkanie z Brianem Aldissem. Specjalnie dla niego zrobiłem wyjątek i – chociaż nie zbieram zwykle autografów – specjalnie w celu zdobycia go kupiłem egzemplarz „Cieplarni”. Autor okazał się wyjątkowo sympatycznym, inteligentnym facetem z poczuciem humoru, więc atmosfera natychmiast zrobiła się wesoła i żywiołowa. Gość opowiadał o swojej służbie w RAFie i książkach, a przy okazji okazało się, że jest starym fandomowcem. W kolejce po spotkaniu stanęło kilkadziesiąt osób, a Aldiss cierpliwie z każdym zamieniał kilka słów.

Następnie udałem się do centrum miasta i znalazłem pizzerię. Ponieważ – ze względu na najazd fandumu – czas oczekiwania na posiłek wynosił godzinę, ewakuowałem się do pobliskiego baru, w którym znajdowała się spora brać konwentowa. Przy okazji zauważyłem Kiryła Ješkowa, który czał się w kacie.

Reszta dnia upłynęła mi na rozmowach przy piwie (ponieważ brałem antybiotyki, piłem głównie Karmi) i kilku punktach programu. Na chwilę zajrzałem na spotkanie z Marcinem Wolskim, który narzekał na burzę wokół jego koncepcji kabaretu w Opolu. Wieczorem obejrzałem świetny „Labirynt fauna”, a potem udałem się na przygotowaną na dziedzińcu, wyjątkowo smaczną wyzerkę; do karkówki z grilla przygrywała niezła folkowa Kapela z Orliczką. Następnie autobus zabrał wszystkich do hotelu w Mierkach. Ze względu na zmęczenie nie poszedłem już do knajpy, zdążyłem za to zostać przeszkolony przez współlokatora Pawła w tajnikach rosyjskiej muzyki metalowej (naprawdę świetna). Zabiłem parę ciem i poszedłem spać.

Sobotni dzień konwentowy, już po powrocie na zamek, zacząłem od panelu „Czy Europa idzie pod nóż?”, na którym Lech Jęczynek i Marek Oramus próbowali przekonać Thomasa Mielkego o strasznym zagrożeniu ze strony groźnych muzułmanów. Gość z Niemiec dzielnie próbował stawiać im opór. Na spotkaniu z Sapkiem nie byłem – i słusznie, bo według relacji znów był wobec uczestników „uprzejmy inaczej”. Potem, razem z Jackiem Komudą i Mają z Jeremiaszem, udaliśmy się do pizzerii na rynku, gdzie przesiadeliśmy kupę czasu przy dobrym piwie, czekając na bardzo spóźniające się dania. Wracając na konwent, mogłem przyjrzeć się słynnemu pomnikowi Władysława Jagiełły z wielkim penisem, ozdabiającemu schody pod zamkiem (dumie jakiegoś lokalnego pierwszego sekretarza; artysta chciał wyrzeźbić dumnie zgiętą nogę króla, ale trochę mu się omsknęło dłuto).

Po południu odbyło się wręczenie tegorocznych SFINKSów. Gwiazdą wieczoru był Maciek Parowski, który odbierał wyróżnienia dla kolejnych autorów publikowanych w „Nowej Fantastyce”. Potem był konkurs strojów fantastycznych, wygrany przez Teletubisia z czerwoną torebką. Później, już w Mierkach, odbyła się wyjątkowo miła biesiada, z karkóweczką, składkowym piwem i wódką, darmowym miodem i sympatycznym towarzystwem. Sporo czasu spędziłem z CD Jackiem. Wieczór uwieczniliśmy koncertem na pianinie; CD Jack grał, śpiewając o mnie, a ja akompaniowałem. Mam nadzieję, że nikt nie opublikuje w internecie nagrania z tego wyjątkowego wydarzenia.

Następnego dnia zamieniłem parę słów w barze ze znajomymi i udałem się do sali kinowej, gdzie obejrzałem pierwszą część „Wiedźmikołaja” (śliczny klimat) i trzech „Piratów z Karaibów” (strasznie przekombinowane). Potem czasu starczyło już tylko na obiad i poszedłem na pociąg.

Festiwałem nie zawiodłem się. To impreza w moim typie: w sympatycznym miejscu, przyjemna, z mnóstwem ludzi na poziomie, ze świetną oprawą. Jeżeli tylko czas i inne czynniki pozwolą, wpadnę do Nidzicy również za rok.

Marcin Szklarski

ZAPOWIEDZI WYDAWNICZE

sierpień 2007

NAGI BÓG: WYPRAWA (THE NAKED GOD) – PETER F. HAMILTON

Wydawca: Zysk i S-ka

YSABEL (YSABEL) – GUY GAVRIEL KAY

Wydawca: MAG

ALICJA, TOM 1 – JACEK PIEKARA

Wydawca: Red Horse

KRĄG DOSKONAŁY (PERFECT CIRCLE) – SEAN STEWART

Wydawca: Red Horse

RYCERZ (THE KNIGHT) – GENE WOLFE

Wydawca: Wydawnictwo Dolnośląskie

ŚPIEW SMOKÓW (DRAGONSONG) – ANNE McCAFFREY

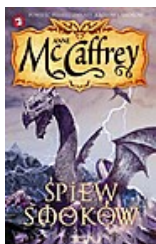
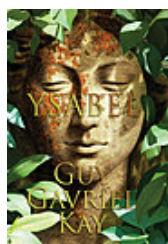
Wydawca: Książnica

WOJNA, KTÓREJ MIAŁO NIE BYĆ (THE NEVER WAR) – D. J. MACHALE

Wydawca: Rebis

MALAFRENA (MALAFRENA) – URSULA K. LE GUIN

Wydawca: Książnica



NA SKRZYDŁACH PIEŚNI (ON WINGS OF SONG) – THOMAS M. DISCH

Wydawca: Solaris. Oprawa twarda

TOTALNA AWARIA SYSTEMU (CRASH DELUXE) – MARIANNE DE PIERRES

Wydawca: Solaris. Wznowienie

KRÓLOWA POTĘPIONYCH (QUEEN OF THE DAMNED) – ANNE RICE

Wydawca: Rebis

KRÓLOWA POTĘPIONYCH (QUEEN OF THE DAMNED) – ANNE RICE

Wydawca: Rebis

DROGA ZAGŁADY (PATH OF DESTRUCTION) – DREW KARPYSHYN

Wydawca: Amber

ATRAMENT (INK) – HAL DUNCAN

Wydawca: MAG

CYTADELA AUTARCHY (THE CITADEL OF THE AUTARCH) – GENE WOLFE

Wydawca: Książnica. Wznowienie

SMOCZY ŚPIEWAK (DRAGONSINGER) – ANNE McCAFFREY

Wydawca: Książnica. Wznowienie

USTRÓJ ŚWIATA, CZĘŚĆ 1 (SYSTEM OF THE WORLD) – NEAL STEPHENSON

Wydawca: MAG

TROJA. TARCZA GROMU (THE SHIELD OF THUNDER) – DAVID GEMMELL

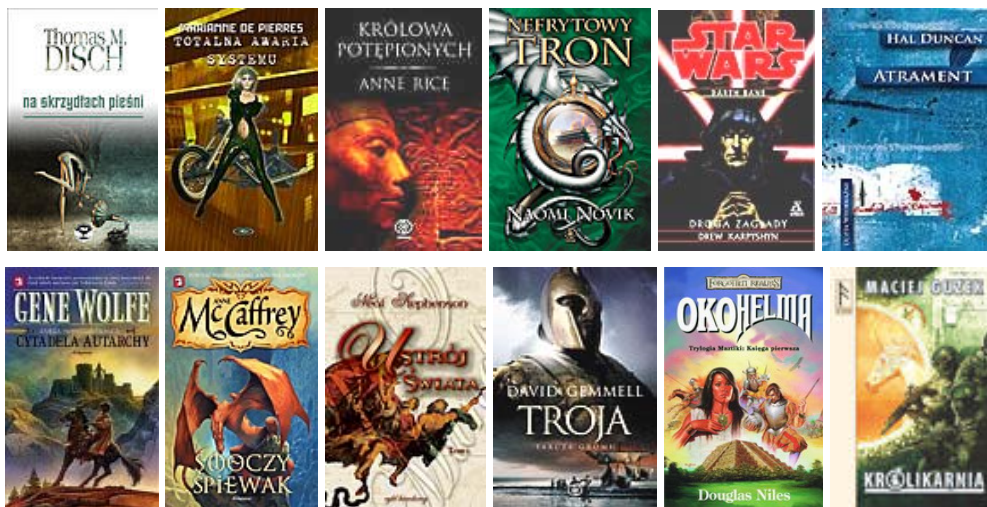
Wydawca: Rebis

OKO HELMA – DOUGLAS NILES

Wydawca: ISA

KRÓLIKARNIA – MACIEJ GUZEK

Wydawca: Runa

**GILOTYNA MARZEŃ TOM 2 – ROBERT JORDAN**

Wydawca: Zysk

CZARNA IKONA TOM 2 – MIESZKO ZAGAŃCZYK

Wydawca: Fabryka Słów

PAN ŁODOWEGO OGRODU 2 – JAROSŁAW GRZĘDOWICZ

Wydawca: Fabryka Słów

WILCZE DZIEDZICTWO. CIENIE PRZESZŁOŚCI – MAGDA PARUS

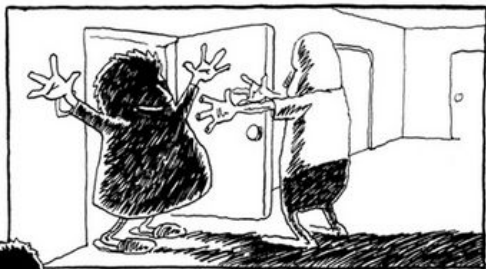
Wydawca: Runa

ATALAYA 3: SZLACHETNE PRZYMIERZE – JAGA RYDZEWSKA

Wydawca: Supernowa



Przygotował Janusz Piszczek
na podstawie serwisów www.esensja.pl,
solarisnet.pl i katedra.nast.pl.

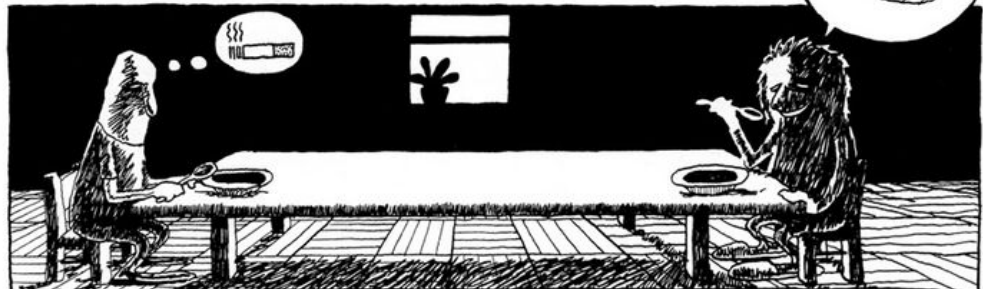
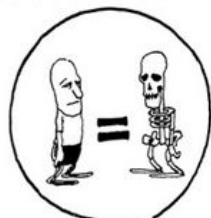


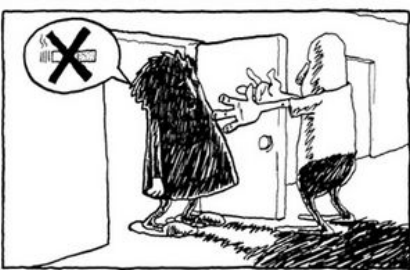
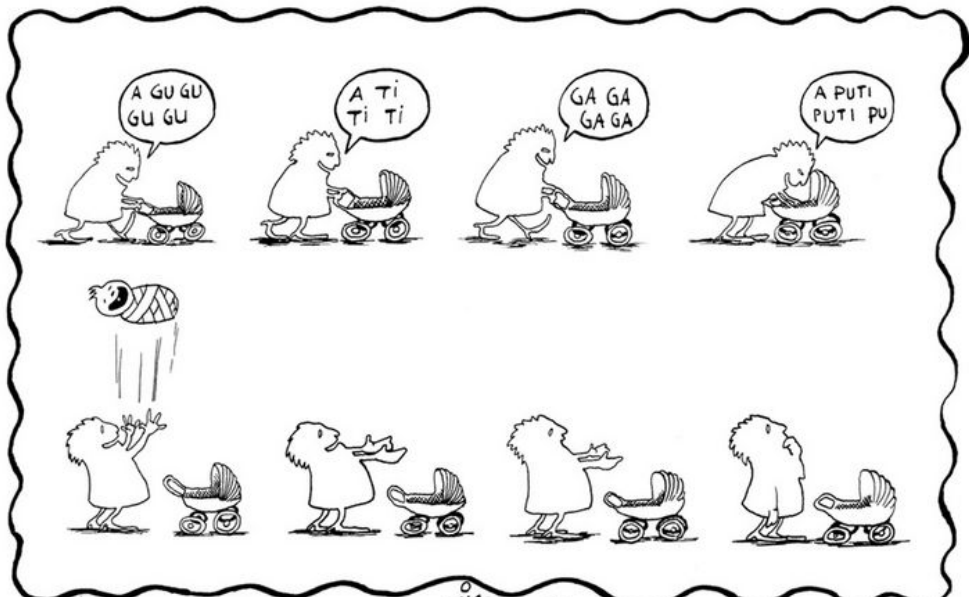
VISITING



by JANUARY 03

MAMA





NIUSY



POTTEROWY MIESIĄC

W lipcu br. mieliśmy dwie premiery „Harry’ego Pottera”: piątego filmu i siódmej (notabene ostatniej) powieści.

red.

ŚWIATŁO Z „CIEMNYCH WIEKÓW” WSZECHŚWIATA

Zespół naukowców z Pasadeny, pod kierunkiem prof. Richarda Ellisa, odkrył – rekordowo przesunięte ku podczerwieni – światło sześciu najstarszych ze znanych galaktyk. Ich wiek, właśnie na podstawie analizy częstotliwości widma, oceniono na 500 milionów lat po Wielkim Wybuchu (najstarsze ze znanych wcześniej galaktyk są o ponad 300 mln lat młodsze).

To równie sensacyjne co cenne odkrycie możliwe było dzięki teleskopowi Keck II na Hawajach (jednemu z największych teleskopów na świecie) oraz... czystemu przypadkowi (słabiuteńkie światło odległych galaktyk zostało ponad dwudziestokrotnie wzmocnione dzięki grawitacyjnemu zakrzywieniu podczas przechodzenia przez masywną gromadę galaktyk znajdującą się na linii obserwacji).

Kolejne informacje o początkach Wszechświata astronomowie uzyskają zapewne wtedy, gdy na orbitę powędruje następca teleskopu Hubble’a – teleskop Webba.

jpp

ORZEŁ WYLĄDOWAŁ – 38 LAT TEMU

21 lipca 1969 roku dwaj członkowie z trzysobowej załogi amerykańskiego statku kosmicznego „Apollo 11”, jako pierwsi ludzie w historii, stanęli na powierzchni Księżyca.

Przypominamy, iż Polska była jedynym państwem ówczesnego „bloku socjalistycznego”, w którym telewizzowie mogli na żywo śledzić to epokowe wydarzenie.

jpp



GILDIA.PL W PIERWSZEJ DWUDZIESTCE

W najnowszym, majowym, podsumowaniu wyników popularności serwisów tematycznych odwiedzanych przez polskich internautów, które oparte jest na badaniach Megapanel PBI/Gemius, Gildia.pl zajęła 20 miejsce w kategorii "Informacje, publicystyka, media". Informacja ta jest dla naszej redakcji wielką nagrodą i motywacją do pracy - tym bardziej, że niemal wszystkie pozostałe miejsca we wspomnianym podsumowaniu zajmują serwisy największych komercyjnych mediów drukowanych, internetowych, telewizyjnych i radiowych. Na stronie: <http://www.internetstandard.pl/news/118425.html> można znaleźć dodatkowe informacje o rankingu.

CD Jack

7 CUDÓW POMORZA

Redakcja wybrzeżowej gazety „Dziennik Bałtycki” pozazdrościła niedawnego światowego plebiscytu na siedem nowych „cudów świata” – i rozpisała własny, lokalny.

Bezdiskusyjnym zwyciężcą czytelnicych SMS-ów został pokrzyżacki zamek w Malborku (notabene największa ceglana twierdza świata); na kolejnych miejscach, z bardzo już równomiernie rozłożonymi głosami, uplasowały się: Bazylika Mariacka w Gdańsku (nb. największy ceglany kościół świata), kalwaria w Wejherowie, wiślańskie mosty w Tczewie, gdański Żuraw, ruchome piaski pod Łebą oraz katedra w Pelplinie (i znajdujący się tam jedyny polski egzemplarz Biblii Gutenberga).

Łącznie z propozycjami spoza owej „siódemki” – byłoby co zwiedzać podczas kolejnych Arraconów!

jpp

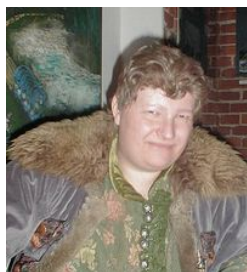


WIELKI DRACO PO RAZ TRZECI W GRODZIE WEJHERA

W dniach 7-8 lipca Wejherowski Klub Gier Bitewnych (działający przy WCK) zorganizował kolejny ogólnopolski turniej Warhammera. Przyjechało 82 graczy - m.in. z Warszawy, Białegostoku, Lublina i Wrocławia. Stoczono w sumie pięć bitew. Rozgrywki odbyły się w dużej sali gimnastycznej Zespołu Szkół nr 3; ich zwycięzcami zostali: Piotr Holanowski (126), Krzysztof Adamczyk (115), Tomasz Koszowski (112). Migawki z imprezy można zobaczyć na stronie internetowej lokalnej kablówki; adres poniżej.

www.portal.tkchopin.pl/index.php?go=tmm&www=tvonline&data=2007-07-09&film=08.wmv

jpp



ECHO TELEPORTU W MAŁYM TRÓJMIEŚCIE

W dziewiątym numerze bezpłatnego dwutygodnika "Express Powiatu Wejherowskiego" ukazał się felieton PiPiDżeja nawiązujący do prelekcji Jacka Komudy poświęconej tradycjom morskim I Rzeczypospolitej - a w szczególności do zapomnianej nieco bitwy pod Helem, gdzie dotkliwy cios szwedzkiej flocie zadał pomorski magnat Jan Wejher (bodajże stryj późniejszego założyciela kalwarii i miasta).

red.

UHONOROWANIE "POETY KICZU"

Od 29 sierpnia do 8 września trwać będzie tegoroczny festiwal filmowy w Wenecji. W konkursie wystartuje 21 filmów. Nagrodę za całokształt twórczości, honorowego Złotego Lwa, otrzyma jeden z najoryginalniejszych twórców współczesnego kina rozrywkowego - Tim Burton.



jpp

KLUBOWY PRZEGLĄD

W sopockim klubie Soho odbył się 16 lipca przegląd wybranych (USA i Azja) krótkometrażówek z pierwszej edycji Fantastik Film Festival.

jpp



EL WAMPIUR PASA...

Wyczerpuje się powoli nakład czwartego wydania komiksu „Wampiors Wars”. Być może Zarząd GKF zdecyduje się na jego niewielki dodruk.

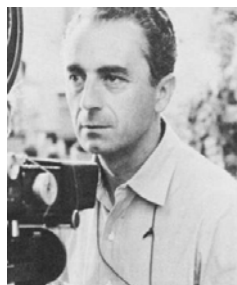
Ale wśród klientów naszego Działu Kolportażu nie znalazła się na pewno większość uczestników ostrej dyskusji z internetowego forum Alei Komiksu. Przypominamy link do niej, gdyż w niusach dwa numery temu ukazał się on, nie wiadomo dlaczego, z błędem: <http://komiks.nast.pl/nowosci/4393//>.

red

ŚMIERĆ WYGRYWA KOLEJNĄ PARTIĘ SZACHÓW...

Rankiem 30 lipca, we własnym domu, zmarł jeden z największych reżyserów w historii kina - Ingmar Bergman.

jpp



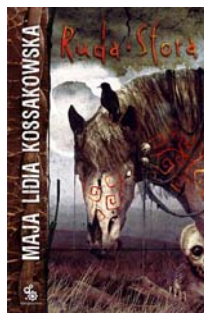
DZIEŃ PO BERGMANIE...

W wieku 94 lat zmarł włoski reżyser i scenarzysta Michelangelo Antonioni. Był jednym z najbardziej oryginalnych twórców filmowych XX w. W 1995 r. otrzymał Oscara za całokształt twórczości.

jpp

W poszukiwaniu utraconej duszy

„Ruda sfora” Mai Lidii Kossakowskiej to jedna z najbardziej zaskakujących książek, jakie ostatnio czytałem. Wprawdzie pierwsze dwa tomy „Zakonu Krańca świata” sygnalizowały wyraźnie zainteresowanie autorki szamanizmem, ale nie pozwalały przewidzieć, że temu właśnie tematowi poświęci w całości następną powieść. W „Rudej sforze” Kossakowska zajmuje się nim tak poważnie, że jest to powieść antropologiczno-historyczna w nie mniejszym stopniu niż fantastyczna. Nie zmienia tego dokładnie



odwrotne zastrzeżenie autorki (że jest to fantastyka), ponieważ służy ono jedynie podkreśleniu, że niektóre elementy świata przedstawionego zapożyczone są z innych szamańskich kultur; większość tekstu zajmuje jednak skrupulatna prezentacja jak najszerzej części wierzeń syberyjskich Jakutów. Metoda Kossakowskiej przypomina tu nieco tę, jaką kiedyś stosował Mika Waltari: „oprowadzenie” bohaterów po najróżniejszych krainach założonego świata pozwala czytelnikowi uzyskać szeroką perspektywę i jak najpełniejszy jego obraz. Także tutaj bohaterowie: młody szaman Ergis oraz jego magiczny koń Bębenek – wędrują najpierw wśród jakuckich naslegów, później zaś między różnymi poziomami drzewa Ar łuk Mas, osi wszechświata, pogłębiając swoją i czytelnika wiedzę o świecie syberyjskiego ludu.

Metoda ta, ciekawa w książkach historycznych (gdzie o ciekawość, tj. o jak najpełniejszy obraz świata chodzi), łatwo może się przerodzić w rozwlekłą narrację, gdy stosuje się ją w fantasy. Dobrym przykładem są tzw. questy, w których autor każe swoim bohaterom odwiedzić niemal każdą krainę na narysowanej przez siebie mapce, naciągając w tym celu potrzeby fabularne. Podobna przypadłość nie ominęła i „Rudej sfory”, gdzie prowadzi się nas od epizodu do epizodu, w których bohaterowie napotykać mniej lub bardziej przypadkowo coraz to nowe postaci z jakuckich wierzeń. Dotyczy to w szczególności środkowej części książki, gdzie Ergis – przekonany, że odebrano mu część duszy – błądzi przez dwieście stron, kierując się wraz ze zbieranymi przez przypadek przyjaciółmi rozmaitymi „zdamy się chyba na los”, „podobno” czy „na waszym miejscu sprawdziłbym (...) W końcu, co wam szkodzi?”. Ale i na początku swej drogi w Drugim Niebie Ergis tylko dzięki zbiegom okoliczności natyka się a to na bohatera (uranchaja), a to na kikituka (ducha opiekuńczego zwierzęcia), na poselstwo demonów abaasy z Dolnego Świata, itd. Trochę za dużo tych przypadków, by fabuła nie rozlaża się nieco w szwach.

A jednak im dalej w las, tym więcej sensu nabiera to, czego już się dowiedzieliśmy, i nawet owa epizodyczna opieszałość okazuje się być uzasadniona. To, co zaczyna się jako przygodowa opowieść antropologiczna, przekształca się stopniowo w ponurą historię ginącego świata. W obliczu zagłady pozostaje tylko smutek i nostalgia za bezpowrotnie odchodzącą przeszłością. Współczesny człowiek nie rozumie już tego, co odeszło, uważając to co najwyżej za śmieszny mrzonkę. Jedyne, co można zrobić w tej sytuacji, to przypomnieć i opisać, by ocalić od zapomnienia. Warto przy tym zwrócić uwagę, że nostalgia autorki nie ma podłoża religijnego; bądź co bądź jej przedmiotem jest zupełnie obcy nam świat syberyjskich wierzeń, w którym wszystko, nie tylko ludzie, ma swoją duszę. Jest to więc raczej antropologiczny żal za zanikającym bogactwem kultur, które można co najwyżej skatalogować tak jak ginące gatunki roślin i zwierząt. I temu właśnie służy „Ruda sfora” – by zinventaryzować i postawić na zakurzonej półce to, co kiedyś było żywym światem.

Jest to najpoważniejsza i najlepsza książka Mai Kossakowskiej, nie tylko swą jakucką tematyką wykraczająca poza to, co napisano dotychczas w fantastyce. Zakończenie „Rudej sfory” to majstersztyk klasy „Gniazda światów” Huberatha, przekształcający oryginalną opowieść przygodową w refleksję nad współczesnym światem i rolą, jaką mają w niej do spełnienia historycy, etnografowie, a przede wszystkim pisarze. Szkoda tylko, że – co ciekawe, znów podobnie jak w „Gnieździe światów” – cała środkowa część jest tu zbędna, a przynajmniej stanowczo za długa z uwagi na brak związku z osią fabularną tekstu. „Ruda sfora” mogła być powieścią genialną, a jest zaledwie jedną z najciekawszych polskich pozycji fantastycznych w ostatnich latach. Do wybitności zabrakło konsekwencji i dobrych nożyczek.

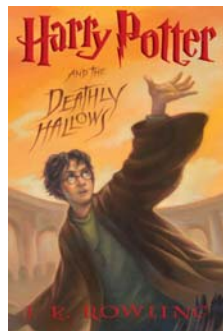
Michał Szklarski

Dla większego dobra?

Na kilka tygodni przed premierą ostatniej części przygód Harry'ego Pottera powiedziałem bratu, że moim zdaniem to, co wiemy po szóstym tomie o postaci Severusa Snape'a, to jeszcze zdecydowanie nie ostatnie słowo. Obaj zgodziliśmy się, że Snape jest najciekawszą, najbardziej wieloznaczną postacią w serii, i – jak się okazało – nie pomyliliśmy się spodziewając się kolejnej woltury z nim związanej: wszystkie sprzeczności (ewidentna nienawiść do Pottera, ale i wielokrotne przykłady pomocy dla niego; to, co robi w szóstym tomie oraz absolutne zaufanie Dumbledore'a do niego) zostają solidnie uzasadnione. Trudno było jednak przewidzieć, że kolejne zaskoczenie dotyczyć będzie samego profesora Dumbledore'a – nieskazitelnego wzoru dobroci, opoki sił dobra, niezłomnego obrońcy uciszonych, etc., etc. To właśnie on pozostaje pierwszoplanowym, choć nieobecny bohaterem „Deathly Hallows” – Dumbledore wciąż pociąga za sznurki, nikomu nie zdradziwszy więcej szczegółów swego planu, niż to potrzebne do jego bezwzględnej realizacji. Im dalej w las, tym wyraźniej Harry i jego przyjaciele uświadamiają sobie, jak niewiele wiedzieli zarówno o nim samym, jak i o jego zamiarach. *For the greater good* – dla wyższego dobra – to hasło kierujące bezwzględnym Dumbledore'em, jakiego dotąd nie znaleźliśmy. Gdy upada mit o kryształicznie czystym bohaterze, po raz pierwszy rodzi się wątpliwość: czy należy nadal ślepo wierzyć komuś, kto nie był z tobą szczery, wysyłając na beznadziejnie trudną misję wymagającą olbrzymich poświęceń i porzucenia normalnego życia?

Wątpliwości powiększają się tym bardziej, że pozostawiając Harry'emu i spółce zadanie odnalezienia i zniszczenia pozostałych horkruksów, dyrektor Hogwartu nie dostarczył zbyt wielu wskazówek, te zaś, których udzielił, zaszyfrował tak, że nie wiadomo, o co w nich chodzi. Do tego pojawiają się owe „Deathly hallows” (po polsku znać się mają „śmiertelnym relikwiami”, w tłumaczeniach na niektóre inne języki „relikwiami śmierci” – nie podoba mi się ani jedno, ani drugie, ale nie mam pomysłu na lepsze), które gmatwają sprawę jeszcze bardziej: nie wiadomo, czy one, czy też horkruksy mają posłużyć do walki z Voldemortem. A do tego wcześniej niż się spodziewali przyjaciele muszą salwować się ucieczką i żyć odtąd w ukryciu (*on the run*), bez możliwości powrotu do opanowanego przez śmierciożerców Hogwartu, ani choćby do obserwowanej *Nory Weasleyów*. Krótko mówiąc, robi się coraz bardziej ponuro, a misja poszukiwawcza posuwa się w ślimaczym tempie. Wkrótce jednak okaże się, co jeszcze w zanadrzu miał Dumbledore, i wówczas akcja przyspieszy gwałtownie, zmierzając wśród kilku wolt fabularnych do prawdziwie spektakularnego ostatecznego rozstrzygnięcia.

„Harry Potter and the Deathly Hallows” to najlepsza część i godne zwieńczenie serii; nawet jeśli akcja rozkręca się nieco powoli, a części rozwiązań można było się spodziewać po uważnej lekturze „Półkrwi księcia”, to jej dramatyczne zakończenie, a zwłaszcza wstrząsający rozdział „The Forest Again”, przejdzie do historii fantastyki. Rezygnacja z wyświechtanych szkolnych schematów, ale przede wszystkim obarczenie Harry'ego olbrzymią odpowiedzialnością i zadaniem ponad siły, czynią z ostatniego tomu cyklu poruszającą opowieść o trudnym, niechętnym, strasznym, ale podejmowanym poświęceniu dla i za innych. Pani Rowling przeszła tu samą siebie, dowodząc, jak bardzo mylą się ci, dla których „Potter” jest po prostu literaturą dla dzieci. Gdy podejmuje się temat śmierci i walki, i czyni się to z taką klasą i wycuciem



postaci – zanikają granice między konwencjami. Podobnie jak u Tolkiena, mamy tu rzecz nie tyle o walce dobra i zła, ale o dobru walczącym ze złem. I nawet jeśli podział między jednym i drugim jest tu nieco za bardzo widowiskowy i czarno-biały (dotyczy to głównie jednoznaczności „szwarczarakterów”, z której wyłamuje się tylko rodzina Malfoyów), to opowieść o słabych, niedoskonałych ludziach próbujących zmierzyć się z ogarniającymi ich świat „siłami mroku” pozostanie w pamięci czytelników jako uniwersalne przesłanie, którego nie można przecenić.

I tylko epilog można było wyciąć. Po co dodawać epilog do *takiej* historii?
Michał Szklarski

J.K. Rowling, *Harry Potter and the Deathly Hallows*, wyd. Bloomsbury, Londyn 2007. Twarda okładka, 607 stron. Cena det. w Polsce: ok. 90 zł.

Ruchome ilustracje

Zakon Feniksa uważam za najslabszą książkę z serii o Harry Potterze. Książka jest za długa i widać wyraźny brak ręki edytora. Film umieściłbym (trochę z innych powodów) na drugim miejscu od końca i podejrzewam, że tą pozycję utrzyma, gdy już będzie cała septologia. Mimo to da się raz obejrzeć film.

Koniec.

Chcicie szczegóły? Dobra.

Scenarzyście należą się duże brawa za umiejętne okrojenie filmu do 138 minut. Szczególnie gratuluję odważnej decyzji o wyrzuceniu pobocznego wątku sprzątanania w rezydencji Blacków. Ten fragment nadawałby się do zbioru opowiadań uzupełniającego główną fabułę.

Wiele scen jest pięknie dostosowana do medium filmowego. Szczególnie podobały mi się sceny wydawania kolejnych edyktów Dolores Umbridge i polowanie Filcha na Armię Dumbledore’a. Wiele innych scen również mniej lub bardziej subtelnie ukazują działanie magii – a w końcu po to oglądamy te filmy. Na szczególne wyróżnienie zasługuje lot na miotłach i walka w Ministerstwie Magii.

Główny minus filmu to jego długość. Można było popracować na wycięciu lub skróceniu niektórych scen. Jednakże, głównym problemem były niektóre dialogi, które zdawały się dłużyć w nieskończoność. Tu winę chyba ponosi reżyser, bo nie potrafił przedstawić zrobić je ciekawie.

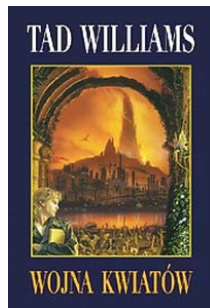
Osoby, które czytały książkę będą miały okazję obejrzeć ilustracje do powieści. Osoby, które idą „w ciemno” mogą się trochę pogubić albo nie złapać niektórych szczegółów. Osobiście mam nadzieję, że Książka Pół-Krwi (koniec przyszłego roku) zostanie lepiej zrealizowany.

Ceti



Baśniowa dystopia

Tad Williams nie jest pisarzem dla każdego. Osoba, która zdecyduje się na lekturę jego powieści, musi pamiętać, że będzie ona długa, a akcja będzie się rozwijać przez pierwsze dwieście stron. Ci jednak, którym nie przeszkadza ten specyficzny styl pisarstwa, mogą liczyć na fascynującą przygodę. Tak oceniano debiutancką trylogię Williamsa, „Pamięć, Smutek i Cierni”, której niektórzy nie znoszą, inni zaś uważają za lepszą od Trylogii Tolkiena. Nie inaczej jest z powieścią „Wojna Kwiatów”.



Jej głównym bohaterem jest Theo Vilmos, niespełniony muzyk, koncentrujący się na ćwiczeniach z zespołem w garażu zamiast zajmować się spodziewającą się dziecka żoną. Wkrótce w jego życiu następuje seria tragedii i niepowodzeń – w tym śmierć dziecka i rozwód – które doprowadzają go do decyzji o zasyciu się w domku w środku lasu. Nie znajduje w nim jednak spokoju – gdyż niespodziewanie atakuje go irra, wyjątkowo obrzydliwy potwór z morderczymi zamiarami. Na szczęście w ostatniej chwili pojawia się niejaka Ogryzka, istota o rozmiarach dłoni, i ratuje go, zabierając do magicznego świata – Faerie.

To dopiero początek tej historii. Theo usiłuje dowiedzieć się, kto i po co sprowadził go w to dziwne miejsce. Okazuje się, że jest do czegoś potrzebny jednej z trzech lokalnych frakcji politycznych. Rusza z wiejskiej rezydencji do Miasta, gdzie ma go przyjąć jeden z polityków. Coś jednak w sprawie śmierdzi, ponieważ niemal natychmiast pojawiają się zamachowcy, usiłujący go zabić. Uciekając przed mordercami, bohater stopniowo zaczyna dowiadywać się prawdy o tym, kim jest i jaką rolę odegra w życiu Faerie i konflikcie między poszczególnymi rodami. Pozna też na własnej skórze, w jaki sposób objawia się gniew magicznych rodów.

Świat stworzony przez Williamsa w wyjątkowo niewielkim stopniu przypomina baśnie – poza obecnością bardzo licznych, dziwacznych istot. Jest to świat baśniowy epoki przemysłowej – jeżdżą w nim pociągi, po drogach poruszają się samochody, świecą latarnie, działają telefony i telewizja („lustrzany strumień”). Najbardziej interesująca jest jednak struktura społeczna. Wszystkimi ludami Faerie rządzi sześć potężnych rodów, które swoje nazwy wzięły od różnych rodzajów kwiatów. Rody te opłacają potężne prywatne armie, utrzymują fasadowy parlament, używają życia i bezwzględnie eksploatują i wyzyskują inne istoty, uważane za klasy niższe. Najbardziej charakterystycznym przykładem tego sposobu sprawowania władzy są magiczne elektrownie, w których wytwarza się moc niezbędną do funkcjonowania ogromnego Miasta: sprowadza się do nich dzieci nisko urodzonych istot i wysysa z nich energię. W tym świecie motywem sprawczym są bardzo ludzka, zachłanna żądza władzy, pieniądze i brutalny wyzysk ekonomiczny połączony z oligarchizacją. Opornych bez mrugnięcia okiem zamyka się w prywatnych i publicznych więzieniach, przemocą wydobywa potrzebne informacje lub likwiduje. Mieszkańcy Faerie muszą się nie wychylać i znać swoje miejsce w lokalnej hierarchii, ryzykując poważnymi konsekwencjami w razie sprzeciwu.

„Wojnę Kwiatów” można nazwać dysbaśnią – bajkową dystopią. Tad Williams postanowił zburzyć mit o pięknej magicznej krainie, do której wybranych ludzi prowadzą sympatyczne wróżki, zastanawiając się, jak funkcjonowałyby w niej typowe mechanizmy rządzące światem: pragnienie władzy i potęga pieniądza. W rezultacie powstała świetna, przemyślana powieść, z każdą kolejną stroną coraz bardziej wciągająca i frapująca.

Atutem tej książki jest jednak nie tylko tematyka – ale również perfekcyjny warsztat, którego mógłby się uczyć u Williamsa każdy początkujący pisarz. Po lekturze kilku jego powieści jestem zdania, że Williams nawet kłodę drewna potrafiłby opisać w ciekawy i przyciągający uwagę sposób. Wszystko jest u niego dopracowane do najdrobniejszego szczegółu, przemyślane, zaplanowane i umieszczone we właściwym miejscu. Tej perfekcji właśnie powieść zawdzięcza ogromny rozmach. Przy takim poziomie techniki pisarskiej nawet najbanalniejszy temat można opisać w taki sposób, że powstanie solidne czytadło.

Z tych też powodów polecam „Wojnę Kwiatów”. Wprawdzie miłośnicy krótszych książek będą musieli uzbroić się w cierpliwość, jednak ci, którzy zechcą zainwestować w książkę trochę swojego cennego czasu, nie zawiodą się.

Marcin Szklarski

Ani science, ani fiction

*„...lepiej porąbać kotwicę na mniejsze części,
niż topić ją w całości”*

Po lekturze „Starszych bogów” Davida i Leigh Eddingsów mam kilka teorii. W myśl jednej, bazującej na mojej dawnej lekturze „Belgariady” i „Malloreonu”, które były zupełnie przyzwoitymi książkami przygodowymi, David Eddings zatrudnił tym razem do pisania tzw. murzyna, który nie umie pisać. Druga teoria mówi, że Eddingsa dopadła jakaś straszliwa choroba, w wyniku której nagle stetryczał i zgubił sto procent swojego warsztatu. Trzecia opiera się na podejrzeniu, że książkę tę napisała w całości Leigh Eddings, a jej mąż podpisał ją dla kurtuazji. Ale szczerze mówiąc, najbardziej prawdopodobna wydaje mi się teoria czwarta: napisał to jakiś trzynastolatek (czy Eddingsowie mają dzieci?), któremu zrobiono ogromną krzywdę nie wyrzucając tego tekstu do kosza. Nie wiem, czy w którymkolwiek z tych przypuszczeń mam rację, ale tak czy siak jednego jestem pewien: od lat nie czytałem tak nieprawdopodobnie złej książki.

Dla porządku dodajmy zarys fabuły, a przynajmniej tego, co fabułą się tu mieni: w świecie tytułowych starszych bogów, z których każdy włada jednym krańcem kontynentu Dhrall, szykuje się wojna z „tajemniczym, żarłocznym i przerażającym” Vlaghiem, usadowionym na pustkowiu w centrum kontynentu. Vlagh powołuje do życia „straszliwe potwory” i konstruuje z nich armię, by podbić resztę Dhrallu; bogowie muszą się bronić i budują własną armię złożoną z ludzi ściągniętych z innych kontynentów. Nie jest to może pomysł na wielką literaturę, ale można by tu skonstruować przynajmniej solidny *storytelling*. W tym celu którakolwiek z postaci powieści musiałaby jednak choć trochę myśleć zamiast wykazywać się co chwilę głupotą i radośnie bredzić od rzeczy. Na przykład straszliwy Vlagh nie pomyśli, że mógłby pozorować atak w jednym miejscu, a naprawdę zaatakować jedną z tych krain, w której akurat nie zgromadzono wojsk, co wybitnie ułatwia zadanie jeszcze mniej rozgarniętym „bogom” – i już to sprawia, że wali się cała konstrukcja książki. Ale to tylko jedna z wielu bzdur, które wypełniają praktycznie każdą jej stronę.



Aby zilustrować tezę o żalonym poziomie fabuły, posłużę się póki co jednym tylko, za to uroczym przykładem. Otóż najpierw dowiadujemy się, że *Ponieważ Trogici, choć bogaci, byli skąpi, nie wynajmowali wojowników do ochrony statków przewożących niezmiernie skarby*. Potem zaś znajdujemy fragment, który wart jest przytoczenia w całości:

Jak to zwykle bywało, na ten widok [okrętu pirackiego – M.Sz.] Trogici uciekli ze swojego statku. Takie zachowanie stało się już niemal rytuałem. „Mewa” zwolniła na krótko, tylko żeby pozwolić marynarzom ze statku handlowego nieco odpłynąć. Potem Maagsowie weszli na pokład obcej jednostki i zabrali wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Przenieśli łup na własny statek i szybko odpłynęli, żeby Trogici mogli wspiąć się z powrotem na pokład, zanim się potopią. Takie panowały zwyczaje wśród cywilizowanych ludów. Nikomu nie działa się krzywda, obie jednostki pozostawały nieuszkodzone, a marynarze rozstawali się w zgodzie, prawie jak przyjaciele. Orli Nos uśmiechnął się lekko. Zeszłego lata obrabował jeden z trogickich statków tyle razy, że zaczęli sobie z jego kapitanem mówić po imieniu.

Szczęka opadła mi z wrażenia, gdy to przeczytałam, choć autorzy atakowali mnie czymś podobnym od czterdziestu stron – trudno było mi bowiem było uwierzyć, że ktoś ma mnie za aż takiego idiotę. A potem sprawdzało się powiedzenie Stanisława Jerzego Leca: gdy już zdawało mi się, że większej bredni nie da się wymyślić, chwilę później (co chwilę) słyszałem pukanie od spodu. Np. niedługo dalej dowiadujemy się, w jaki sposób zaparkować okręt piracki o 35 metrach długości, 8 metrach szerokości i 80 ludziach załogi (o czym skrupulatnie informuje się nas parę stron wcześniej):

Wielka Pięść ustawił rumpel i osadził statek na piaszczystej plaży.

Amen. Koniec opisu. Chyba będę to przekazywał swoim kursantom na obozach żeglarskich: niech się przesiadają śmiało na „Dar Pomorza”, skoro prowadzi się go tak samo, jak Oriona! I właśnie w ten sposób napisana jest cała książka. Cała. Od samego początku można dostać wytrzeszczu oczu, szczęce grozi zwichnięciem od ciągłego opadania; a potem jest równie źle.

Aby nie być gołosłownym, garść kolejnych przykładów: Bogini Zelana potrzebuje armii, więc zbiera gigantyczne 600 jednostek floty – tylko po to, by marynarzy (piratów) wysadzić na brzegu i kazać im walczyć *na lądzie*. Statek porwany przez morski prąd płynie bokiem i nie reaguje na ster. Gdy brakuje metalu na groty do strzał – zamiast posłać jeden statek po transport, nasi bohaterowie przetapiają wszystko, co się da, łącznie z kotwicami (ciekawe, co się dzieje z sześcioma setkami statków bez kotwic – czyżby też zaparkowały na plaży?). To wówczas pada zacytowane na początku zdanie o rąbaniu kotwic na części (ciekawe czym? Siekierami? Autorzy powinien chyba kiedyś zobaczyć, jak potężne są kotwice wielkich żaglowców). Kapitan okrętu nie wie, że na mapie można różne rodzaje terenu oznaczać różnymi symbolami. Dowódca 100-tysięcznej armii lądowej też nie umie czytać ani tworzyć map. Żołnierze budują umocnienia w poprzek kanionu tylko po to, by zrezygnować z wszelkiej osłony: *Kiedy przyjdzie czas walki, poprowadzę ludzi środkiem kanionu, a Dhralijczycy będą stać na zboczach po obu stronach i szyli z luków do wroga.* (– *Doskonały plan – uznał Narasin*). W miejscu, skąd widać już „nieprzebrane hordy” armii Vlagha, sprzymierzeni żołnierze rozpalają ogniska, aby wróg ich NIE widział zza zaślony dymu. Etc., etc., etc.

Krótko mówiąc, wszyscy co do jednego bohaterowie książki to jedna wielka banda debili, którzy nie tylko nie powinni zajmować się wojną, ale nawet z domu nie powinni wychodzić, żeby nie zrobić sobie krzywdy. Nie wyłączając bogów. Aż chce się przywołać (niedokładnie, bo z pamięci) cytat z filmu „Zróbmy sobie wnuka”, odnoszący się do pewnej wyjątkowo niezdarnej dziewczyny: „Ty to się za miętę najwyżej bierz, bo my

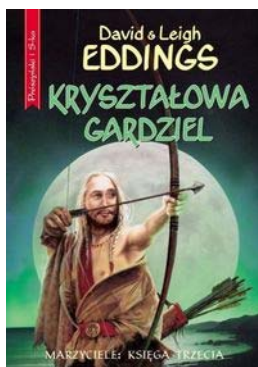
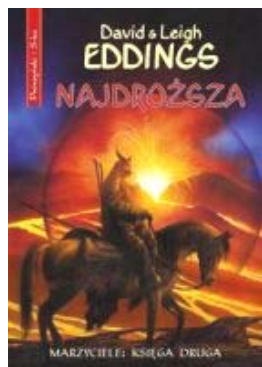
chcemy żywe do starości dożyć". To po prostu niemożliwe, aby autorem tej zenady był David Eddings. Facet, który napisał dwadzieścia książek, nawet pieprząc od rzeczy powinien robić to zgrabnie. Tutaj natomiast nie ma ani śladu warsztatu. Nie ma tu dosłownie nic. Nie ma opisów, a jeśli zdarzy się jakiś od święta, to jest zdawkowy i prymitywny (*vide* parkowanie okrętu pirackiego na plaży). Brak jakiegokolwiek wiarygodności psychologicznej postaci (niejaki Zajączek upija okrętowego kowala, po czym ukrywa się na jego statku i po dwóch dniach przedstawia się kapitanowi: – *Nazywam się Zajączek, jestem waszym kowalem. – Chyba się wygłupasz!* – *zdziwił się żeglarz o wielkich pięściach. – Spotkałem w Weros kolegę po fachu, Borkada. Kupiłem od niego to miejsce*). Brak logiki akcji (Trogici mimo wielokrotnych rabunków nie wpadną na pomysł zaopatrzenia w zbrojną ochronę statków z „niezmierzonymi skarbami”, ale ich miasto otoczone jest „grubymi i wysokimi murami”, a do tego od ręki można tam zwerbować stutysięczną [!] armię). Brak zróżnicowania języka postaci (absolutnie wszyscy mówią dokładnie tak samo; nawet 5-latka mówi kwiecistym i wyszukany językiem, np. o profanacji: *Twoja mowa, pani, nie służy przecież ziemskiemu sprawowaniu i zwykłemu czasom. Powstała dla wyjątkowych celów. Nie chciałabym jej sprofanować, sprowadzając do pospolitej roli*). Są za to genialne plany (zamurować kanion i pójść dalej), żenujące dowcipy (bóg Veltan przekomarza się z błyskawicą: „Skąd u ciebie takie słownictwo?”), egzaltowana grafomania (bogini Zelana dosiada wiatru, „jednego z tych, które zjednoczone z wiecznością podróżowały wyżej niż chmury”), zwykłe bzdury (szkwał trwający przez tydzień), świadectwa nieprawdopodobnej głupoty bohaterów (dwie boginie nie odróżniają pieca hutniczego od słońca, jedna z nich nie wie, co to gotowanie), natrętne powtórzenia (straciłem rachubę, ile razy przeczytałem o umiejętnościach strzeleckich Długiej Strzały), etc., etc., etc.

Zamiast podsumowania chciałbym złożyć szczerze wyrazy współczucia tłumaczcze, która dostała to żałosne dzieło do tłumaczenia. Czuję się nabyty w butelkę przez wydawcę, który sprzedaje tę makulaturę jako powieść do czytania, podczas gdy miejsce „Starszych bogów” od początku było w śmietniku, a nie w księgarni.

Ciąg dalszy, o zgrozo, nastąpi. Ba! Już nastąpi!

Michał Szklarski

David i Leigh Eddings, *Starsi bogowie (Marzyciele: księga pierwsza)*, wyd. Prószyński i S-ka, Warszawa 2006. Tłum. Agnieszka Barbara Ciepłowska. Okładka miękka, 280 s. Cena okładkowa: 29,90 zł.



P.S. Papiera

Może trudno w to uwierzyć, ale kolejne tomy „Marzycieli” są jeszcze gorsze. Szczególnie „Kryształowa Gardziel”, gdzie pewne zdarzenia autor opisuje 3-4 razy – w kółko to samo!

Serdecznie współczuję Agnieszkom: Ciepłowskiej i Kwiatkowskiej, że musiały tłumaczyć tego gniota. Cóż – *pecunia non olet*.

Jedynym (powtarzam: jedynym!) plusem cyklu są świetne okładki Jacka Kopalskiego. Nie przypuszczałem tylko,

że Długa Strzała jest tak podobny do CD-Jacka...

ZANIM PRZECZYTACIE PO POLSKU

Smoki (w Chinach) trzymają się mocno

Pod pewnymi względami *“Jadeitowy tron”* jest dobrą kontynuacją całkiem ciekawie rozpoczętej historii. Ale pod innymi pokazują, że wraz z jej rozwojem autor może utracić kontrolę nad własnym tekstem.

Ciekaw jestem, jaki będzie polski tytuł tomu drugiego (*“Jadeitowy tron”*?), bo jeśli wierzyć Esensji – pierwszy tom tłumaczyła osoba, która nie odróżnia liczby mnogiej od pojedynczej. Miejmy nadzieję, że tom drugi będzie przekładać ktoś, kto chociaż ma kontakt z sinologiem, bo spora część powieści toczy się w Chinach.

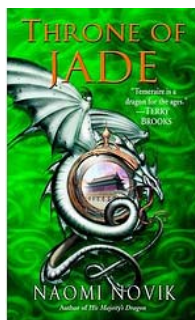
Temeraire to smok jedyny w swoim rodzaju albo przynajmniej jedyny w swoim rodzaju poza Chinami. Tam bowiem jego rasa stawiana jest na piedestale, a pozycją dorównuje niemal rodzinie cesarskiej. Uwidacznia się to już chociaż w nazwie (Celestial). Nic więc dziwnego, że na wieść o wykorzystywaniu naszego uroczego smoka do działań bojowych – do Anglii udaje się chińska misja dyplomatyczna, której zadaniem jest doprowadzenie do powrotu młodego smoka do macierzy.

Brytyjska admiralicja, związana już z jednej strony wojną z napoleońską Francją, obawia się dodatkowo narazić potężnym Chinom – zatem Temeraire wyrusza wraz z Laurencem w podróż przez pół świata, wokół Afryki, do Chin. Przyjdzie im się zmierzyć z niebezpieczeństwami morskiej podróży i intrygami cesarskiego brata spiskującego w celu przejścia władzy. A przy okazji Temeraire spotka własną matkę, przeżyje pierwsze doznania miłosne, pochłonie sporą dawkę wiedzy, zyska nowego (potężnego) wroga, a na dokładkę – na widok tego, jak w Chinach żyją smoki, zupełnie przesiąknie wolnościowym myśleniem.

Pozytywnym aspektem jest przeniesienie akcji poza Europę, nawet jeśli tymczasowe. Jakkolwiek do końca wojen napoleońskich jest daleko, to ciągle prowadzenie akcji w obrębie tego obszaru po pewnym czasie spowodowałoby problemy z zapewnieniem różnorodności. A tak, w prosty sposób Novik prezentuje zupełnie inną kulturę, a przy okazji przedstawia więcej informacji o smokach; a te żyją nie tylko w Europie czy w Chinach, ale i w wysoce tajemniczej Afryce.

Interesująco pokazuje lekkie odsuwanie się od siebie dwóch głównych bohaterów – aczkolwiek nie oznacza to, że w chwili próby Temeraire nie stanie po stronie Lawrence’a. Dla tego ostatniego podróż do Państwa Środka oznacza narastające problemy z tłumaczeniem swemu ukochanemu smokowi pozycji jego gatunku w społeczeństwie brytyjskim i i momentami zabawną gimnastykę słowną, do jakiej musi się Lawrence uciekać, by Temeraire nie zechciał porzucić służby w Korpusie Powietrznym.

I skoro tyle jest dobrego – to dlaczego ta krótka powieść jest tak potwornie rozwleczone?? Wydawać by się mogło, że podróż przez pół świata i pobyt w Chinach dostarczą ogromnej liczby wrażeń i zapewnią ciekawą akcją, a tymczasem wszystko się niemiłosiernie dłuży. W miarę, jak czytam kolejną część, dochodzę do wniosku, że to jest niestety cecha pisarstwa Novik: Naomi znalazła doskonały sposób na długą sagę i stara się go eksploatować do granic możliwości. Żle, że dzieje się to kosztem czytelnika! Ogólne zdanie o *“Jadeitowym tronie”* jest takie samo jak o *“Smoku Jego Królewskiej Mości”*. Lekka lektura do szybkiego zapomnienia.



Maciej Majewski
www.maciejmajewski.pl

Krecia robota przypadku

Stanisław Lem, *Opowiadanie Pirxa*,
[w:] *tenże, Opowieści o pilocie Pirxie*,
Wrocław 1998, wyd. Siedmioróg.



Opowiadanie Pirxa to w Lemowskim cyklu utwór szczególnie: tu bowiem po raz pierwszy i bodaj jedyny Pirx występuje w pierwszej osobie, relacjonując jako bohater, a zarazem narrator własną przygodę. Jest to też jedyny utwór z udziałem tego bohatera, w którym pojawiają się (czy też raczej **być może** pojawiają się) kosmici. Główny bohater, poszukując pracy pozwalającej mu powrócić w Kosmos, przyjmuje posadę pilota w firmie Le Mansa. Zajmuje się odzyskaniem wraków krążących po orbicie. Jako pilot steruje „Perłą Nocy”, jednakże okoliczności zmuszają go do przejęcia kontroli nad całym statkiem. Kiedy przesłano mu ostrzeżenie o roju meteorów w okolicach Wenus, Pirx zdany zostaje jedynie na własną pomysłowość i doświadczenie. Oddajmy jednak głos samemu opowiadającemu: *Okolo jedenastej poszedłem zjeść coś do mesy; telegrafista, który na to tylko, zdaje się czekał, znikł, jakby się rozplynął, a ja byłem zbyt zmęczony, aby nie to, że szukać go, ale choć o nim pomyśleć. Inżynier (...) odchodząc do siebie (...) powiedział mi, że lewy ekran radaru musi być chyba popsuty, bo w jednym miejscu iskrzy w nim coś zielono (...). W następnej chwili gnałem do sterowni* (s. 215).

Owym rzekomym uszkodzeniem radaru był obraz niezidentyfikowanego pojazdu. Pomimo prób nawiązania łączności, nie zdołano tego uczynić. Tajemniczy statek wyminał „Perłę Nocy” i dopiero wtedy Pirx uświadomił sobie odmienność jego kształtów od wszystkich typów znanych mu pojazdów. Ponieważ, pomimo dalszych prób nawiązania łączności, rakietą nie odpowiadała, Pirx decyduje się zapisać parametry mijającego go pojazdu, nie będąc pewny, czy nie jest on wytworem obcej cywilizacji. Z owego osobliwego spotkania nie pozostaje jednak żaden dokument ze względu na zbyt późno zauważony brak dysku w czytniku. W związku z tym całe zajście pozostało jedynie w pamięci pilota, rozważającego konsekwencje innego biegu wydarzeń. Próby śledzenia pojazdu również spełzły na niczym. Pirx, znając procedury obowiązujące w centrali i świadomy bezcelowości swoich wysiłków, nie zdecydował się na zaalarmowanie baz na Księżycu. Sam też, nie będąc pewien, czy obiekt nie jest tworem pochodzenia naturalnego, zataił swe odkrycie.

W tej sytuacji do spotkania nie doszło z powodu nieprzewidzianych okoliczności i choroby załogi. Przypadek, często obecny w utworach Lema, spowodował, że Pirx — po części ze względu na okoliczności: przepracowanie, epidemię świnki na pokładzie, po części zaś z własnej winy — nie zareagował dość szybko, by nawiązać kontakt. Do dialogu nie dochodzi więc nie z uwagi na brak odpowiednich predyspozycji jednej ze stron, lecz niejako niezależnie od nich, na skutek niepomyślnego biegu okoliczności.

Opracowywany w ten sposób model kontaktu niespełnionego nie prowadzi do rozwiązania tajemnicy istnienia przedstawicieli obcej cywilizacji. Stwierdzenie ich obecności (bądź też — jak dzieje się w przypadku opowiadania Lema, bohater ma jedynie wrażenie ich obecności, nie będąc pewnym, czy to, co widzi, nie jest złudzeniem) nie prowadzi do wyjaśnienia tajemnicy. Zostaje ona tym samym niejako spotęgowana, bowiem ustaleniu faktów towarzyszy odkrycie, iż to, co dotychczas braliśmy za pewnik, ujawnia istnienie kolejnych tajemnic. I w ten oto sposób opowieść o kontakcie z obcą cywilizacją (zakładając, iż w istocie był to statek pozaziemskiego pochodzenia) zmienia się w rozważania o naturze świata, której nie sposób rozwikłać. Przypadek zaś, co zdaje się sugerować Lem, z zadziwiającą częstotliwością krzyżuje plany.

Adam Mazurkiewicz

JAK Z GOMBROWICZA, JAK Z MROŻKA...

Lipiec był bardzo gorącym miesiącem; przynajmniej w polityce. A jedna z najbardziej dynamicznych przepychanek dotyczyła kanonu lektur szkolnych, ze szczególnym uwzględnieniem twórczości Witolda Gombrowicza. Nasze primaaprilisowe niusy po prostu wysiadają w przedbiegach przy polskiej rzeczywistości!



dy tzw. IV RP naprawdę nie odbiegły zbyt od niektórych realiów PRL?

PiPiDzej

A ja mam w tym momencie dziwne uczucie deja vu... W średnich szkołach czasów gierkowskich o kimś takim jak Gombrowicz w ogóle nie nauczano. Z tym nazwiskiem zetknąłem się dopiero na polonistyce. I tylko z nazwiskiem, gdyż w gdańskich bibliotekach (nie pamiętam już, czy na UG czy w PAN) znajdował tylko jeden (sic!!!) egzemplarz "Ferdydurke" z jedyne go powojennego (krajowego) wydania tej książki – udostępniany w czytelnicy za specjalnym glejtem (że np. jest akurat potrzebny do konkretnej pracy naukowej). Kiedyś jakiś zachodni badacz Mrożka z kolei – przyjechał na tydzień do Polski. Wyjeżdżał autentycznie zdruzgotany: wszystkie jego tezy (oparte na bazowym założeniu, iż Mroźek jest surrealistą) legły w gruzach... Czyżby niektóre absurdy

GDĄSKI KLUB FANTASTYKI

ADRES GKF : Gdańsk-Przymorze, ul. Opolska 2

ADRES KORESPONDENCYJNY: skr. poczt. 76, 80–325 Gdańsk 37

STRONA: www.gkf.art.pl

REDAKCJA: Jan Plata-Przechlewski (red. nac.), Krzysztof Papierkowski, Marcin Szklarski, Michał Szklarski

ZDJĘCIA Z TELEPORTU: CD-Jack, Michał Szklarski

GRAFIKI: Piotr Terszel (3)

KONTO BANKOWE GKF: PKO BP I O/GDYNIA nr 52 1020 1853 0000 9902 0067 8359

Nakład 300

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

INFORMATOR

220

Teksty drukowane w „Informatorze” odzwierciedlają przekonania Autorów i nie zawsze pokrywają się z poglądami redakcji